

I znów do wiosny 1943 roku trwało szkolenie i ćwiczenia w terenie. Były egzaminy! Po zdaniu tych egzaminów znów nastąpił zastój. Czekaliśmy na jakieś przydziały. Powiedziano nam, że jesteśmy teraz kadrą i my mamy szkolić nowy narybek. Ale nic się nie działo! Wreszcie któregoś dnia Andrzej poinformował nas, że nasza podchorążówka była nielegalna! I nie zostaliśmy zatwierdzeni jako podchorążowie! Było lato. Otrzymałem urlop, pojechałem do Babci, jak co roku na wakacje. Zabrałem ze sobą Andrzeja. Byliśmy rozgoryczeni, było nam już wszystko jedno. W tej podwarszawskiej miejscowości (nie wymieniam nazwy celowo, bo zaszły tam tak nieprzyjemne wydarzenia, że przykro mi jest pisać o tym nawet po upływie tylu lat). Wszystko zapowiadało się dobrze. Było lato, byliśmy młodzi. Zapomnieliśmy o trudach (Niemców tam nie widziało się). Wprowadziłem Andrzeja w znane mi sprzed wojny towarzystwo miejscowej młodzieży. Teraz całe życie towarzyskie koncentrowało się tam na terenie dworu. Zarządca majątku pana hrabiego miał dwie córki. Cała miejscowa młodzież tam lgnęła. Myśmy byli (na razie) również mile widziani. Dwa tygodnie szybko minęły. Ja musiałem wracać do Warszawy, do mojej pracy w drukarni. Andrzej mógł jeszcze pozostać i pozostał. Nawiązaliśmy tam kontakty nie tylko towarzyskie. Oni tam mieli również swoją organizację. Chcieli od nas otrzymać materiały szkoleniowe i wykładowców. W zamian dawali nam trochę broni, która była starannie zakopana po 1939 roku. W porozumieniu z moim dowódcą otrzymałem zezwolenie na nawiązanie łączności. Zawiozłem im różne materiały szkoleniowe, otrzymaliśmy trochę broni, kontakt był utrzymany. Dowiedziałem się, że przebywa tam jeszcze Andrzej oraz nasz kolega z Żąbkowskiej, u którego odbywały się wykłady. Powiedział, że musi się ukrywać. Ukrywano go dobrze, karmiono jeszcze lepiej. Jednym słowem, żyć nie umierać! Panny koło niego chodziły na paluszkach! Taki ważny konspirator z samej Warszawy! To był zaszczyt dla całego dworu! Pojechałem tam jeszcze raz po broń. Oni tam jeszcze byli. Raptem wybuchła bomba! Otrzymałem wiadomość, że Andrzej ma wykonać wyrok śmierci na ukrywającym się koledze! Tam w tej letniskowej miejscowości. Wszystko rzuciłem. Pracę, dom. Pojechałem czym prędzej najbliższą kolejką! Zastałem nastrój okropny! Wszyscy byli zdezorientowani, nieufni. Pytali mnie czy ja też mam na kogoś wyrok? Czy to takie u nas są zwyczaje W ogóle, coś okropnego! Dziewczyny płaczą po kątach, miejscowi chłopcy uzbrojeni po zęby na jeden krok nie odступują od Andrzeja. Tamtego gdzieś schowali. Żądają wyjaśnień! A ja nic im nie potrafię wyjaśnić. Wciąż nie mam pojęcia o co tam chodzi? Andrzej twardo obstaje, że ma taki rozkaz i koniec. Nie było innego sposobu, jak wyprawić tamtego do Warszawy, Andrzeja jeszcze przetrzymać. Na drugi dzień powróciliśmy do Warszawy. Nigdy już nie zobaczyłem tamtego kolegi. Andrzej był przez jakiś czas „na indeksie”. Zmienił pseudonim na „Babinicz”. Ale o co tam tak naprawdę chodziło? Tego nie wiem do dnia

dzisiejszego. Straciliśmy tylko zaufanie u tych miłych i uczynnych ludzi, tam na wsi! Nic już nie otrzymaliśmy od nich.

Z tego samego okresu, tzn. 1943 roku, muszę wspomnieć o jeszcze jednym człowieku, który nazywał się „Zdzisio”. Mieszkał w prywatnym hoteliku przy ulicy Chmielnej na tyłach Dworca Głównego. Zajmował się handlem. Wspecjalizował się w zawieraniu transakcji handlowych na razie na małą skalę, później, jak się interes rozwinął obracał dość okazałymi sumami. Kupował od Niemców wszystko. Perfumy, szampan, bieliznę damską. Natomiast dla potrzeb organizacji, ponosząc ogromne ryzyko, dokonywał transakcji, które przyprawiły o zawrót głowy! Na przykład zaprowadził mnie kiedyś przed hotel Polonia, pokazał samochód niemiecki. Pod plandeką były karabiny maszynowe! On to właśnie kupował, pertraktował właśnie z Niemcami. Musiałem natychmiast uruchomić jakiś transport. Trzeba to przewieźć. Ponadto należało mu oczywiście zapłacić i to dość okazałą sumę. Z pieniędzmi mógł jednak poczekać. Ale jak zabrać te karabiny z niemieckiego samochodu, z Alej Jerozolimskich w biały dzień? Oni się spieszyli. Dostali pieniądze, chcieli się zabawić. Nic ich już nie obchodziło. Zgodzili się jednak wjechać tyłem w jakąś bramę na ulicy Poznańskiej. Tam okrywając workiem (był tylko jeden), pojedynczo znieśliśmy „towar” do piwnicy. Niemcy pojechali. Myśmy czekali na nasz transport. Wkrótce ktoś nadjechał. Zabrano to wszystko. Wracałem do domu na „miękkich nogach”, koszula przylepiła mi się do pleców. Matka położyła mnie do łóżka, bo stwierdziła, że jestem chory.

Takie i tym podobne „numery” urządzał nam Zdzisio. Najbardziej denerwujące było to, że zaskakiwał nas. Nagle był od niego telefon, że ma już coś do zabrania. Oczywiście nie mówił co to jest. To, co kupił, mogło zmieścić się do kieszeni lub wymagało innego środka transportu. Miał raz pijanego Czecha, który zrzucił niemiecki mundur, sprzedał całe oporządzenie, nawet niedrogo, ale chciał w zamian cywilne ubranie i dokumenty! To już przekraczało nasze możliwości. Ale Zdzisio i z tego wybrnął. Wszystko jednak ma swój kres. Wpadł, i to na głupim pistolecie. Wszedł do bramy z Niemcem, który mu wręczył ten pistolet. Na ten moment wkroczyli do bramy funkcjonariusze Gestapo. Zabrali Zdzisia, zabrali Niemca. Zabrali bardzo dużą sumę pieniędzy w toku rewizji w jego pokoju w tym hoteliku. Męczyli go bardzo długo. Dla kogo dokonuje te zakupy? Nic nie powiedział. Nie jest mi znany jego dalszy los. Podobno ocalał.

To wszystko były jednak dygresje. Wprawdzie dotyczyło to pracy w konspiracji, szarpało nerwy, przysparzało wiele kłopotów. Człowiek w takich sytuacjach bał się, ale jednocześnie dojrzewał, podejmował decyzje, hartował swój charakter. Niepostrzeżenie stawał się wytrawnym konspiratorem. Musiał w lot chwycić różne wiadomości, spostrzeżenia, musiał zapamiętać, nic nie pokręcić, bo tu chodziło o życie. Własne i życie innych ludzi.